

Philip Yancey

# pogłoski

OTAMTYM ŚWIECIE



Philip Yancey

# pogłoski

OTAMTYM ŚWIECIE

Originally published in the U.S.A. under the title: **Rumors of Another World**  
Copyright © 2003 by SCCT  
Grand Rapids, Michigan

© for Polish edition by Wydawnictwo Credo 2005

© for Polish translation by Credo 2004

Wydanie polskie ukazuje się nakładem Wydawnictwa Credo, działającego w ramach Fundacji Credo powołanej przez Chrześcijańskie Stowarzyszenie Akademickie (ChSA).

*ChSA jest ruchem zrzeszającym studentów i absolwentów wyższych uczelni, którzy akceptują i stosują w codziennym życiu prawdy zawarte w Piśmie Świętym. ChSA jest członkiem międzynarodowej organizacji IFES (International Fellowship of Evangelical Students).*

Przekład: *Czesław Czudek*

Redakcja: *Elżbieta Pieprzyk-Bagińska, Ryszard Ślapik*

Korekta: *Iwona Dobrek*

Opracowanie źródeł: *Justyna Wielgos*

Skład i łamanie: *Kazimierz Leja*

Projekt okładki: *Agnieszka i Tomasz Swobodowie*

ISBN 83-920164-4-0

Wydanie pierwsze, Katowice 2005

Wydawnictwo CREDO

ul. Wojewódzka 29/8

40-026 Katowice

skr. poczt. 412

credo@credo.org.pl

www.credo.org.pl

Tym, którzy pozostają w strefie niczyjej



## Podziękowania

Piszę książki od dwudziestu pięciu lat. Im dłużej to robię, tym wyraźniej widzę, że pisanie zamiast stawać się coraz łatwiejsze, jest coraz trudniejsze wręcz — po części dlatego, że gdy pracuję, coraz lepiej zdaję sobie sprawę, co robię źle. Również w trakcie pisania niniejszej książki, rozdarty wewnętrznie, zmagalem się z samym sobą, pochwycony w pułapkę umysłu, z jednej strony ograniczonego sceptycyzmem, z drugiej zaś — osobistą pobożnością, mało przekonującą.

Dziękuję wielu ludziom, którzy pomogli mi skonkretyzować i wyrazić moje myśli. Jestem głęboko wdzięczny Davidowi Grahamowi, Chrisowi Grindemowi, Klausowi Isslerowi, Tedowi i Connie Ning, Timowi Ogdenowi, Brendzie Quinn, Timowi Staffordowi.

Szczególną pomoc wyświadczyły mi Kathy Helmers i Joan Sloan — w nadawaniu książce kształtu na poszczególnych etapach jej powstawania. Tekst do druku przygotował Bob Hudson, a Melissa Nicholson za dbała o masę szczegółów, a zwłaszcza o wysledzenie i odnalezienie źródeł, do których się odwołuję. Żmudne zajęcie.

Doprawdy, wydać książkę to kosmiczna robota!



## Wstęp

Napisałem tę książkę z myślą o wszystkich, którzy żyją na „pograniczu wiary”. Takie określenie podsunął mi Mark Buchanan, pisarz. Chodzi o to, że na terenach ogarniętych konfliktem (jak na przykład Półwysep Koreański) armie obu stron nieustannie patrolują obszar wzdłuż granicy dzielącej zwaśnione kraje, pozostawiając jednak w spokoju tzw. pas ziemi niczyjej, nie należącej ani do jednej, ani do drugiej strony.

Wielu żyje w takim pasie ziemi niczyjej, jeśli o wiarę idzie. Choć trzymają się z dala od kościoła czy w ogóle stronią od religii chrześcijańskiej, to jednak nie potrafią wyzbyć się poczucia, że gdzieś poza tym wszystkim istnieje jakaś duchowa rzeczywistość. Może to właśnie spotkania z pięknem — swoiste momenty objawienia — bądź też wewnętrzna nieukierunkowana tęsknota dyskretnie dają im znać, by zwrócili wzrok ku czemuś, co musi istnieć poza sferą codziennej rutyny życia. Lecz cóż by to mogło być?

Wydarzenia takie jak załamanie kariery zawodowej, śmierć kogoś bliskiego, narodziny dziecka, wzbudzają w nas pytania, na które niełatwo tak od razu znaleźć właściwą odpowiedź. Czy Bóg istnieje? Czy jest życie po śmierci? Czy wiara religijna rzeczywiście prowadzi do autentycznie transcendentnego doświadczenia, czy jest po prostu kijem do podpierania się na wyboistej drodze życia?

Znam chrześcijan, którym z trudnością przychodzi wyjaśnianie, dlaczego akurat wierzą, tak jak wierzą. Być może traktują wiarę jako coś, co po prostu wynieśli z domu. Być może w ich mniemaniu kościół to miejsce, gdzie idziemy w niedzielę, żeby dodać sobie otuchy. Jeśli mieliby wytłumaczyć istotę swej wiary ateście bądź muzułmaninowi, nie wiedzieliby za bardzo, co mają rzec.

A ja — cóż ja mam powiedzieć? U źródeł powstania tej książki legło pytanie o wiarę właśnie. Nie zamierzam tu wszak nikogo do niczego przekonywać. Raczej głośno myślę, mając nadzieję, że jakoś dojdę do ładu z moją własną wiarą. Czy w epoce internetu i zaawansowanych badań kosmosu wiara w Boga ma jakiś sens? Czyż nie dowiedzieliśmy się już wszystkiego o życiu? A co wówczas, jeśli gdzieś po drodze pominęliśmy jakiś element, istotny dla tej wiedzy?

Jeśli chodzi o mnie, ta ogromna przepaść ziejąca pomiędzy wiarą a niewiarą sprowadza się do jednego prostego pytania: Czy świat widzialny wokół nas to rzeczywiście wszystko, co istnieje? Ci z nas, którzy nie są pewni odpowiedzi, to właśnie mieszkańcy „ziemi niczyjej”. I nie ma znaczenia, czy pochodzą ze strefy wiary, czy ze strefy niewiary. Zastanawiają się, czy dopuszczanie możliwości istnienia świata niepostrzegalnego nie jest tylko i wyłącznie jakimś pobożnym życzeniem. Czy przypadkiem wiara nie zwodzi nas, każąc widzieć świat, którego nie ma? A może objawia nam rzeczywistość, której bez wiary dostrzec się nie da?

„Głośno myśleć” znaczy dla mnie przelewać słowa na papier. Tak właśnie powstała niniejsza książka. Podstawą mych rozważań jest widzialny świat, który wspólnie zamieszkujemy. Czy możliwe, że w tym świecie dobiegną nas pogłoski gdzieś „spoza”? Jak je rozpoznać? Wychodząc z tego punktu, staram się dalej omówić oczywiste sprzeczności: Jeżeli rzeczywiście świat został stworzony przez Boga, to dlaczego nie sprawia takiego wrażenia? Skąd na naszej planecie tyle zamętu, bałaganu, powikłań? W końcu, zastanawiam się nad tym, jak dwa światy — widzialny i niewidzialny, naturalny i pozanaturalny — mogą na siebie oddziaływać, i jak to oddziaływanie może wpływać na naszą codzienność. Czy chrześcijaństwo jest po prostu

najlepszą możliwą na tej ziemi drogą życia, ponadczasowym odwzorowaniem prawdy, czy też jakimś pakietem akcji, skutkujących w wieczności?

Jestem mało entuzjastycznym chrześcijaninem. Nękają mnie rozmaite wątpliwości, a obecnie dochodzę do siebie po nie najlepszych doświadczeniach, jakich doznałem w rozmaitych społecznościach. Pisałem o tym szerzej we wcześniejszych książkach. Postanowiłem więc, że nie będę kolejny raz rozwodził się nad moją przeszłością. Jestem świadom wszelkich argumentów i powodów, by nie wierzyć. Dlaczego więc wierzę? Zapraszam do lektury!

### Źródła nie ujęte w przypisach:

s. 13 — Fiodor Dostojewski. Cytat pochodzi z *Dziennika pisarza*, z tomu pomieszczonego artykuły powstałe po 1880 r. — red.

s. 129 — T. S. Eliot, *Mord w katedrze*, tłum. Jerzy S. Sito, Instytut Wydawniczy Pax, Warszawa 1976, s. 72.

s. 209 — Eugene Ionesco, *Present Past Past Present: A Personal Memoir*, tłum. z fr. Hellen R. Lane, Grove Press Inc., New York 1971.

Jeżeli nie wskazano inaczej, wszystkie cytowane fragmenty Biblii pochodzą z: *Biblia to jest Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, nowy przekład z języków hebrajskiego i greckiego, opracowany przez Komisję Przekładu Pisma Świętego*, Towarzystwo Biblijne w Polsce, Warszawa 1996.

CZĘŚĆ PIERWSZA

# Czy coś umyka naszej uwadze?

Każda mrówka zna strukturę swego mrowiska;

każda pszczoła zna strukturę ula.

Są tego świadome na swój własny sposób, różny od naszego.

Jedynie rodzaj ludzki nie zna swej własnej struktury.

Fiodor Dostojewski



## ŻYCIE W KAWAŁKACH

Najpiękniejsza rzecz, jakiej możemy doświadczyć, jest zaiste tajemnicza. To źródło wszelkiej prawdy i nauki. Ten, komu takie uczucie jest obce, kto nie potrafi zastygnąć w niemym podziwieniu i trwać w zachwycie, podobny jest do trupa: ma zamknięte oczy.<sup>1</sup>

Albert Einstein

Już ponad dziesięć milionów ludzi w Europie i Azji zwiedziło „Światy Ciała” — tę szczególną wystawę. Otóż pewien niemiecki profesor wynalazł metodę zwaną plastynacją. Jest to przeprowadzany w próżni proces, podczas którego poszczególne komórki ludzkiego ciała są zastępowane żywicami epoksydowymi w jaskrawych barwach, na podobieństwo procesu polegającego na zastępowaniu przez minerały komórek drzew w skamieniałym lesie. Umożliwiło to profesorowi takie zakonserwowanie ciała człowieka (całego bądź jego poszczególnych fragmentów), które pozwala uwidocznic narządy wewnętrzne w wystawianych na pokaz zwłokach, zastygłych w pełnych grozy pozach, charakterystycznych dla żywych ludzi.

Wystawę „Światy ciała” obejrzałem w galerii sztuki w Londynie. Zwiedzałem ją, mając za sobą nocny lot z Kolorado, gdzie mieszkam. Odczuwa-

<sup>1</sup> Albert Einstein, „What I Believe”, (w:) „Forum”, październik 1930.

łem dojmujący wpływ zmiany czasu\* aż do chwili, kiedy to u wejścia do galerii natknąłem się na „znak firmowy” wystawy: człowieka składającego się z mięśni, ścięgien i więzadeł, ze skórą, w całości zdartą z ciała, przypominającą gumę, zarzuconą przez ramię jak płaszcz przeciwdeszczowy. Senność natychmiast ustąpiła miejsca niezdrowemu zaafelowaniu.

Przez następne dwie godziny kręciłem się tu i tam, pośród sześćdziesięciu zakonserwowanych ciał, wkomponowanych artystycznie pomiędzy drzewa palmowe i ekspozycje edukacyjne. Widziałem kobietę w ósmym miesiącu ciąży, ułożoną w pozycji półleżącej, jak gdyby spoczywającą na kanapie, z otwartymi wnętrznościami, ukazującymi płód ze skierowaną w dół główką; sportowców pozbawionych skóry — biegacza, szermierza, pływaka, koszykarza — w charakterystycznych dla ich dyscyplin pozycjach, ukazujących cuda i dziwy układu kostnego i mięśniowego; szachistę bacznie wpatrującego się w szachownicę, którego plecy odsłaniały system nerwowy rdzenia kręgowego. Szachiście usunięto czaszkę, aby mózg był lepiej widoczny.

Jeden z eksponatów przedstawiał układ pokarmowy. Różowe organy podwieszono na wykonanej z drutu konstrukcji, od języka począwszy, poprzez żołądek, wątrobę, trzustkę, jelita i okrężnicę. Opis na tabliczce zawierał informacje o pięciu milionach gruczołów uczestniczących w procesie trawienia. Nie mogłem się powstrzymać i nie myśleć o kombinacji wędzonego łososia, cynamonowych bułeczek, jogurtu, ryby z frytkami, zamienionej w breję — za sprawą pięciu co najmniej filiżanek kawy, jakie wypilem w samolocie — zmagającą się teraz w mych trzewiach z tymi gruczołami. Dalej dowiedziałem się, że noworodki nie mają jeszcze rzepki w kolanie, że cała krew jest filtrowana przez nerki co cztery minuty, że komórki mózgu obumierają, jeśli są pozbawione tlenu dłużej niż dziesięć sekund. Przypa-

\* Ang. *Jet lag syndrome*, czyli tzw. Zespół Jumbo-Jeta — zakłócenie rytmu biologicznego organizmu, spowodowane zmianą strefy czasowej, towarzyszące najczęściej podróżnym odbywającym dalekie loty. Zwykle objawia się złym ogólnym samopoczuciem, ociężałością i sennością, problemami gastrycznymi, nienaturalnym pobudzeniem (przypisy oznaczone gwiazdką pochodzą od redakcji).

trywałem się wątrobie skurczonej od nadużywania alkoholu, małym plamkom raka w piersi, grudkom tłuszczu przylegającym do ścianek naczyń krwionośnych, płucom czarnym od dymu papierosowego, cewce moczowej uciskanej przez przerośnięty mięsień prostaty.

W przerwach w obserwowaniu splastynowanych ciał obserwowałem ludzi obserwujących splastynowane ciała. Oto młoda dziewczyna, ubrana na czarno od stóp do głowy; odsłonięty brzuch, włosy zafarbowane na pomarańczowo, kolczyk w wardze. Na ramieniu wytatuowane róże. Zwraca baczność na wszystkie żywe ciała, lecz ledwie zauważa te zakonserwowane. Japonka w jedwabnej sukience w kwiaty, w słomkowym kapeluszu. Buty na koturnie ze słomy doskonale pasują do całości. Elegancka, wpatruje się w każdy eksponat z kamienną twarzą. Lekarz, ostentacyjnie popisujący się swoją wiedzą przed piękną, młodą dziewczyną, towarzyszącą jego dwudziestoletniemu synowi. A oto student w dresie, z gatunku tych, którzy wiedzą wszystko. Błędnie wyjaśnia swojej dziewczynie, że „naturalnie, prawa półkula mózgu kontroluje mowę”. Pochód milczących ludzi, przyciskających do uszu słuchawki. Na daną komendę przechodzą mechanicznie od jednego eksponatu do drugiego, niczym zombi.

Przez drzwi, wraz z rytmami hip-hopu, dobiega ostra woń curry. Kupcy sponsorujący festiwal curry zatamowali ruch na kilku ulicach. Grają tam zespoły muzyczne, ustawiono też platformy do tańca. Wyglądam przez okno, patrząc na uliczną zabawę. Na zewnątrz — życie; wewnątrz — splastynowane jego resztki.

Każdorazowemu otwarciu wystawy „Światy ciała” w krajach takich jak Szwajcaria czy Korea, towarzyszyły protesty, a organizatorzy wystawy przeznaczali osobną tablicę na relacje z kolejnych demonstracji. Protestujący byli przekonani, że przeprowadzanie sekcji zwłok kogoś takiego jak na przykład babcia, a więc człowieka posiadającego rodzinę, dom, nazwisko, a może nawet przeznaczonego do wieczności, plastynowanie jego ciała, a następnie wystawianie go na pokaz wobec gapiących się głupkowato turystów, stanowi obrazę ludzkiej godności.

Profesor Günther von Hagens\*, występując w obronie swojej wystawy, zdecydowanie oświadczył, że wszystkie osoby, których zwłoki zostały wyeksponowane, przed śmiercią dobrowolnie przeznaczyły swoje ciała na ten właśnie cel. W istocie, dysponował listą tysięcy potencjalnych dawców. W swym oświadczeniu uznał chrześcijaństwo za religię najbardziej tolerancyjną wobec takiego podejścia do badań naukowych, przedstawiając krótki zarys historii Kościoła i medycyny. Co najdziwniejsze, zwieńczeniem wystawy była ekspozycja prezentująca parę powykręcanych zwłok, klęczących pod krzyżem, składających się jedynie z mięśni i kości oraz wytrzeszczonych oczu.

---

Tego popołudnia, które spędziłem na wystawie „Światy ciała”, chwając się z niewyspania, uświadomiłem sobie, że istnieją dwa odmienne sposoby patrzenia na świat. Pierwszy sposób polega na dzieleniu, podczas gdy drugi usiłuje łączyć i składać w jedno. Żyjemy w czasach zdominowanych przez to pierwsze podejście. To drugie nie jest zbyt popularne.

\* Günter von Hagens, postać dość kontrowersyjna. Syn Gerharda Liebchena, byłego aktywisty NSDAP, służącego w SS pod bezpośrednim dowództwem Jürgena Stroopa, słynnego kata Powstania w warszawskim getcie. W Polsce Hagens starał się o pozwolenie na otwarcie w Sieniawie zakładu preparowania zwłok ludzkich metodą plastynacji, co wywołało społeczny sprzeciw. Na łamach prasy dominowały głosy przywołujące na pamięć koszmar holocaustu oraz hitlerowskich obozów koncentracyjnych, gdzie m.in. w przemysłowym traktowaniu ludzkiego ciała dokonywało się największe upodlenie człowieczeństwa. Choć Hagens, który zyskał u niektórych przydomek „współczesnego doktora Mengele” twierdzi, że jego działania „pozostają w ścisłym związku z tradycją chrześcijańską”, a historycznie „krojenie ciał ludzkich służyło uwidocznieniu stwórczej potęgi Boga”, to jego słowa muszą brzmieć co najmniej niestosownie na polskiej ziemi, gdzie w Oświęcimiu, Treblince, Majdanku czy Sztutowie hitlerowcy, podobnie odwołując się do Boga, używali bestialskich metod w traktowaniu ludzkich ciał. W atmosferze wytworzonej wokół osoby von Hagensa oraz jego wystawy, Autor (dla którego von Hagens jest po prostu „niemieckim profesorem”) zdaje się nie dostrzegać tego kontekstu.

Rozczłonkowane ludzkie zwłoki, ukazujące kości, nerwy, mięśnie, ścięgna, więzadła, naczynia krwionośne i organy wewnętrzne, obrazują naszą zdolność do redukcji — w tym wypadku ciała człowieka — na części składowe. Przejawiamy podejście redukcjonistyczne, powiadają naukowcy, i w tym leży tajemnica postępu. Potrafimy czynić tak ze skomplikowanymi układami (jak na przykład Układ Słoneczny, systemy prognozowania pogody na świecie czy też ciało człowieka), sprowadzając je do elementów prostszych, aby poznać ich funkcjonowanie<sup>2</sup>.

Dokonująca się w ostatnim czasie rewolucja za sprawą techniki cyfrowej stanowi prawdziwy tryumf zwolenników redukcjonizmu, ponieważ komputery redukują informację do jedyńki i zera. Mój znajomy prawie codziennie przesyła mi dowcipy pocztą elektroniczną. Dzisiaj otrzymałem listę pytań do rozważenia, między innymi: Dlaczego „skrótowy” jest tak długim słowem\*? Dlaczego nie ma karmy dla kotów o smaku myszy? Takie dowcipy wymyślają ci, którzy najpewniej mają za dużo czasu. Wpisują je potem do komputera i rozesyłają emailem, by rozweselić resztę świata.

Zastanówmy się nad poszczególnymi etapami tego procesu. Komputer żartownisia rejestruje serię uderzeń w klawiaturę, przekłada je na binarne nośniki informacji, zapisuje je magnetycznie jako plik na twardym dysku. Program komputerowy odnajduje ten plik i przekłada go na serię pakietów, przesyłanych następnie modemem lub łączem szerokopasmowym do serwera komputerowego, znajdującego się w miejscu ukrytym

<sup>2</sup> Autorem motta redukcjonizmu jest Kartezjusz: „Gdyby ktoś potrafił całkowicie poznać, czym są maleńkie części tworzące wszystkie ciała, wtedy mógłby doskonale poznać całą naturę”. Francis Crick, współodkrywca struktury DNA, odnosi tę zasadę do człowieka: „Nie jesteś niczym więcej niż zlepkiem neuronów [...] Nie jesteś [...] niczym więcej niż tylko zachowaniem ogromnego układu komórek nerwowych i połączonych z nimi cząsteczek”. René Descartes, cyt. w: Brian Easlea, *Liberation and the Aims of Science*, Rowman and Littlefield, Totowa, New Jersey 1973, s. 255. Francis Crick, cyt. w: Malcolm Jeeves, „Brain, Mind, and Behaviour”, (w:) *Whatever Happened to the Soul*, Brown, Murphy and H. Newton Malone, Fortress, Minneapolis 1998, s. 87.

\*Ang. *abbreviated*.

przed ludzkimi oczami. Jakiś użytkownik ściąga dowcip dnia z serwera, zapisuje go w swoim komputerze w domu, a następnie przesyła dalej emailem do wszystkich ze swej książki adresowej. Cały ten cykl powtarza się, bity z dowcipami biegną liniami telefonicznymi lub bezprzewodowo, odbijając się nawet od satelitów. W końcu loguję się w internecie i ściągam dowcip od przyjaciela, który w ten sposób próbuje przyprawić mnie o wesołość.

Zaiste, jesteście mistrzami — do cyfrowego zapisu bitów potrafimy sprowadzić nie tylko dowcipy, ale i literaturę, muzykę, zdjęcia czy filmy i w kilka sekund rozesłać je na cały świat. Pewnego razu, będąc w górach Kolorado na nartach, spotkałem na zboczu Australijczyków, którzy każdego dnia przesyłali rodzinie i przyjaciołom w kraju zdjęcia stamtąd — przez internet. Kilka minut spędzonych na stronie internetowej pozwala mi odnaleźć dowolne słowo w dziełach Szekspira lub oglądać ekspozycje w Luwru.

Czy zaiste doczekaliśmy się prawdziwych osiągnięć w dziedzinie tworzenia treści, którą inni kiedyś będą przechowywać i do której będą powracać? Czy możemy zestawić naszą sztukę ze sztuką impresjonistów, bądź wartość naszej literatury z wartością dzieł z epoki elżbietańskiej? Czy nasza muzyka jest lepsza od twórczości Bacha czy Beethovena? Zazwyczaj rozkładanie czegoś, co już istnieje, jest łatwiejsze niż tworzenie z niczego. Weźmy na przykład wynalazek sztucznej ręki, skonstruowanej przy użyciu najbardziej zaawansowanych technologii. Mimo to w porównaniu z naturalną ręką jej mechaniczne ruchy nadal wydają się niezgrabne.

Kiedyś w podręcznikach szkolnych można było wyczytać ciekawostkę, że substancje chemiczne, z których zbudowane jest ciało człowieka, da się nabyć, według aktualnie obowiązujących cen, za osiemdziesiąt dziewięć centów. Nie wyjaśnia to oczywiście tajemnicy wyjątkowości wspaniałych sportowców, takich jak Michael Jordan czy Serena Williams. Lekcje wychowania seksualnego w szkole średniej, na których mówi się o jajowodach i nasieniowodach, nawet nie dotyczą tej cudownej, tajemnicznej sfery, jaką jest pragnienie i przeżywanie seksu małżeńskiego. A spektakularne ekspozycje

naty z wystawy „Światy ciała” są po prostu niczym w porównaniu ze zwykłymi ludźmi żującymi gumę, popijającymi kawę i gawędzącymi przez telefony komórkowe.

Udaje nam się rozbiór na poszczególne części. Czy jednak umiemy położyć je w całość? Sprawiamy, że komórki ludzkiego ciała przeistaczają się w kolorowy plastik, lub tniemy je na tysiące kawałków. Znacznie trudniej nam o zgodę w kwestii, czym jest istota ludzka. Skąd się wzięliśmy? Dlaczego istniejemy? Czy jest w nas coś, co będzie w stanie przetrwać śmierć? Czy ci wszyscy ludzie, wystawieni jako eksponaty w galerii, trwają gdzieś w innym wymiarze jako nieśmiertelne dusze, być może przyglądając się badawczo zwiedzającym, którzy mijają ich splastynowane ciała? A co z niewidzialnym światem, opiewanym przez mistyków — światem, którego nie da się poddać drobiazgowej analizie i wystawić w galerii? Wiedza o częściach składowych niekoniecznie musi pomagać w zrozumieniu całości.

Elisabeth Elliot, znana pisarka i działaczka misyjna opowiada, jak to kiedyś towarzyszyła pewnej kobiecie z plemienia Auca o imieniu Dayuma, która z ekwadorskiej dżungli wybrała się do Nowego Jorku. Gdy tak razem spacerowały ulicami miasta, Elisabeth próbowała tłumaczyć jej, czym są samochody, hydranty przeciwpożarowe, chodniki i czerwone światła na przejściu dla pieszych. Dayuma w milczeniu chłonęła kolejne obrazy. Następnie udały się na platformę widokową na szczycie Empire State Building, skąd daleko w dole widać było siatkę ulic, którymi mknęły maleńkie samochody, a ludzie z tej odległości przypominali mrówki. Dayuma nie odzywała się ani słowem. Elisabeth była ciekawa, jakież to wrażenie wywierają na niej te wszystkie przejawy współczesnej cywilizacji. Nagle Dayuma zatrzymała się, z zainteresowaniem wskazując palcem wielką białą plamę wapna na betonowej ścianie. „To musiał być ogromny ptak, no nie?”. Nareszcie znalazła coś, co mogła skojarzyć z własnym doświadczeniem.

Pewnego razu znalazłem się w Argentynie, w rejonie, któremu towarzysze Magellana nadali nazwę Tierra del Fuego (Ziemia Ognista), a to od ognisk płonących wówczas na wybrzeżu, rozpalanych przez tubylców. Lecz tubylcy

zupełnie nie zwracali uwagi na wielkie statki przepływające przez cieśninę. Później okazało się, że brali statki za jakieś zwidy, gdyż były całkiem odmienne od wszystkiego, co do tej pory znali. Brakowało im doświadczenia, a nawet wyobraźni, by dociec, co takiego jawi im się przed oczami<sup>3</sup>.

A my, którzy wzniesiliśmy drapacze chmur w Nowym Jorku, którzy dziś budujemy coś więcej niż galeony — stacje kosmiczne czy teleskopy Hubbla i inne, przez które zerkamy do najdalszych zakątków wszechświata? Co z nami? Czego nam brakuje? Co umyka naszej uwadze, gdy nie dostaje nam wyobraźni bądź wiary?

---

Søren Kierkegaard raczy nas przypowieścią o bogaczu podróżującym w karecie. Karetą powozi wieśniak, siedzący na koźle, w ciemności i chłódzie. W karecie natomiast jest jasno i przytulnie, lecz przez to bogacz traci możliwość podziwiania wspaniałego widoku rozgwieżdżonego nieba, czym do woli może sycić się woźnica. Wydaje się, że obecnie nauka rzuca coraz więcej światła na materialny aspekt świata, jednocześnie coraz bardziej spychając w mrok świat niewidzialny<sup>4</sup>.

Nie jestem bynajmniej jakimś luddytą\*, przeciwiwającym się postępowi technologicznemu. Dzięki mojemu laptopowi mogę w każdej chwili mieć wgląd w tekst każdej książki napisanej przeze mnie w ciągu minionych dwudziestu lat i dostęp do tysięcy poczynionych w międzyczasie notatek. I chociaż zaszyłem się gdzieś w górskim ustroniu, mogę, posługując się tym samym komputerem, wysyłać wiadomości do przyjaciół w Europie i w Azji. Co miesiąc płacę rachunki online. Na te i inne sposoby, pełen wdzięczno-

<sup>3</sup> Opowieść cytowana przez Roberta Kischnera w: *Divine Thing*, Crossroad, New York 2001, s. 40.

<sup>4</sup> Søren Kierkegaard, *The Gospel of Suffering*, Augsburg, Minneapolis 1948, s. 123.

\* Luddyci — robotnicy niszczący maszyny fabryczne podczas rewolucji przemysłowej w Anglii. W postępującej mechanizacji przemysłu upatrywali oni przyczynę bezrobocia oraz wszelkiego społecznego zła.

ści, radośnie korzystam z udogodnień będących wynikiem podejścia zwolenników redukcjonizmu do technologii i nauki.

Widzę jednak niebezpieczeństwa w naszym nowoczesnym patrzeniu na świat. W pewnym sensie redukcjonizm, duch naszego wieku, redukując wszystko, wywiera na nas niekorzystny wpływ. Naukowcy opracowali mapę świata, coś w rodzaju mapy topograficznej, z zaznaczonymi na kolorowo strefami wegetacji. Wijące się gęsto poziomicie oznaczają zarysy urwisk skalnych i wzgórz. Wędrując po górach w Kolorado, polegam na takich mapach. A jednak żadna mapa dwuwymiarowa, czy nawet trójwymiarowa, nie jest w stanie oddać pełnego obrazu gór. A już na pewno żadna nie zastąpi doświadczenia górskiej wędrowki: rozrzedzonego górskiego powietrza, kobierców polnych kwiatów, gniazd pardwy, strumyczków spienionej wody, smaku zasłużonego posiłku na szczycie. Redukcjonizm przegrywa w konfrontacji z osobistym doświadczeniem.

Co ważniejsze, podejście rzeczników redukcjonizmu nie pozostawia żadnego miejsca dla świata niewidzialnego. Opiera się na założeniu, że świat materii jest ogólną sumą istnienia. Możemy go zmierzyć, sfotografować i skatalogować; możemy posłużyć się akceleratorami jądrowymi, by rozbić go na najmniejsze cząstki. Patrzymy na fragmenty, mniemając, że oto widzimy całą rzeczywistość.

Niewidzialnego Boga nie da się oczywiście zbadać czy poddać testom. A z całą pewnością Boga nie da się określić ilościowo czy rozłożyć na czynniki. Tak wielu ludzi, żyjąc w zaawansowanych pod względem technicznym społeczeństwach, zajmuje się swoim codziennym życiem zakładając, że Bóg nie istnieje! Przez chwilę koncentrują swą uwagę na otaczającym ich świecie, dającym się zredukować i poddać analizie, głuśni na pogłoski o tamtym świecie. Jak powiedział Tołstoj, materialści błędnie uznają to, co ogranicza życie, za samo życie.

Mam sąsiada, obsesyjnego pedanta. Mieszka w górzystym zalesionym terenie. Droga do jego domu przypomina serpentynę. Zwisające, zeschnięte gałęzie sosen z gatunku *pinus ponderosa* utrudniały mu jazdę autem. Posta-

nowił poobcinać te gałęzie. Pewnego dnia wezwał firmę zajmującą się przycinaniem drzew, ale gdy dowiedział się, że taka usługa będzie kosztować pięć tysięcy dolarów, przeraził się. Pożyczył więc piłę łańcuchową i przez kilka następných weekendów sam ścinał te gałęzie, gdzie mógł tylko sięgnąć, ryzykownie balansując na drabinie. Po czym raz jeszcze wezwał firmę i zapytał, ile wezmą za usunięcie pozostałych konarów, do których już nie sięgnął. Usłyszał coś, czego najmniej się można było spodziewać: „Panie Rodrigues, teraz musi pan zapłacić dwa razy więcej. Bo widzi pan, zamierzaliśmy wejść na niższe konary, żeby poobcinać te u samej góry. A teraz musimy użyć specjalnego pojazdu z wysięgnikiem. To kosztuje”.

W pewnym sensie historia ta przypomina mi dzisiejsze społeczeństwo. Odcieśliśmy niżej położone gałęzie, na których opierała się zachodnia cywilizacja, a te znajdujące się wyżej wydają się być niebezpiecznie wysoko — poza naszym zasięgiem. „Pozwoliliśmy, by wygasła poświata w konarach świętych gajów, zdusiliśmy światła na wzgórzach wzdłuż brzegów świętych strumieni”<sup>5</sup> — pisze Annie Dillard.

Aż do czasów obecnych, zdominowanych przez nowoczesną zachodnią cywilizację, żadne społeczeństwo nie próbowało obejść się bez wiary w świętość. Dopiero teraz zaczynamy odczuwać konsekwencje życia bez wiary. Doniosłe pytania, które od zawsze zajmowały ludzkość — pytania o moralność, o sens i cel istnienia, wprawiają nas w zakłopotanie. Mój przyjaciel, sceptyk z natury, miał kiedyś zwyczaj pytać przewrotnie „co zrobiłby ateista?”, wyśmiewając się w ten sposób z hasła „Co zrobiłby Jezus?”<sup>6</sup>. W końcu przestał pytać, nie znajdując satysfakcjonującej odpowiedzi.

Eliminowanie świętości zmienia historię naszego życia. Dawniej, w czasach większej powszechności wiary, człowiek postrzegał siebie jako stwo-

<sup>5</sup> Annie Dillard, *Teaching a Stone to Talk*, Harper and Row, New York 1982, s. 69.

<sup>6</sup> Ang. *What Would Jesus Do*. Popularna w amerykańskich środowiskach ewangelikalnych fraza, której akronim (WWJD) umieszcza się często na plakietkach, obrączkach, wisiorkach itp. Ma to przypominać wierzącym, że w każdej chwili powinni postępować tak, jak postępowałby Jezus — przyp. tłum.

rzenie, powołane do istnienia przez miłującego Boga, który — bez względu na jego stan w danej chwili — sprawował kontrolę nad światem, którego przeznaczeniem była odnowa. Ludzie bez wiary czują się samotni i zagubieni. Są pozbawieni pomostu łączącego ich z przeszłością — pozbawieni historii jako Bożej opowieści, która wszystko wyjaśnia, która daje obietnicę na przyszłość i wzbudza przekonanie, że teraźniejszość ma sens. Słyszemy tu i ówdzie, że przypisywanie naturze piękna, a człowiekowi — wyjątkowej wartości, czy mowa o imperatywie moralnym — to zwykłe „konstrukcje pojęciowe”, stworzone na osłodę tej gorzkiej oczywistości, że rola człowieka we wszechświecie rządzonym przez przypadek ogranicza się do rozmiarów niewyobrażalnie małych.

Większość ludzi na przestrzeni historii doświadczała przyjemności i bólu, narodzin i śmierci, miłości i nienawiści, a więc blasków i cieni tego świata, który wszak sprzęgnięty był jakoś ze światem świętym i niewidzialnym. Lecz tak już nie jest, lub jest tak dla niewielu. Dziś człowiek rodzi się, dorasta, bawi się, pracuje, gromadzi dobra, nawiązuje relacje z innymi, potem umiera, pozbawiony jakiegokolwiek pocieszenia, że to, co robił, w ogóle się liczyło i że miało jakiegokolwiek znaczenie poza znaczeniem, jakie sam temu przypisywał.

Jacques Monod określa współczesną sytuację jednoznacznie: „Człowiek musi nauczyć się żyć w obcym świecie, który jest głuchy na jego muzykę i tak obojętny na jego nadzieje, jak na cierpienie czy zbrodnię... Na końcu człowiek wie, że jest samotny w nieczułym bezmiarze świata, z którego wyłonił się jedynie dzięki przypadkowi”<sup>7</sup>.

Einstein zauważył, że choć wprawdzie dysponujemy znakomitymi środkami, by osiągać nasze cele, to jednak same cele są zgoła niejasne. Fizycy zredukowali strukturę materii do drobin daleko mniejszych od atomu, a twórcy programów komputerowych większość naszej wiedzy o świecie

<sup>7</sup> Jacques Monod, *Przypadek i konieczność. Esej o filozofii biologii współczesnej*, tłum. Jędrzej Bukowski, Biblioteka Głosu, Warszawa 1996.

sprawdzili do informacyjnych bitów. Znamy mechanizmy działania, nie wiemy zaś, dlaczego działają. Właściwie to czujemy się zdeorientowani: nie wiemy, w oparciu o co podejmować decyzje. Czy mamy kochać nasze dzieci, czy je bić? Uczyć się do egzaminów, czy balować na całego? Dlaczego więc postępujemy tak, jak postępujemy, dokonując takiego czy innego wyboru?

---

Psychologia ewolucyjna, dziedzina nowa, utrzymuje, że postępujemy po prostu według scenariusza zapisanego w naszym DNA. obrońcy tej tezy postulują istnienie zasady wyjaśniającej postępowanie człowieka, którą ma być „samolubny gen”, a teoretycy ewolucji ogłaszają ten pogląd za największy postęp od czasów Darwina. Robię to, co robię, dla unieśmiertelnienia mojego materiału genetycznego. Poszczególne działania, nawet te, które nie przynoszą mi osobistej korzyści wprost, są podejmowane na rzecz mojego genomu.

Zwolennicy takiego podejścia uważają wszelką dobroć za formę egoizmu. Edward O. Wilson głosi, że altruizm jest w istocie całkowicie samolubny: człowiek postępuje w pozornie szlachetny sposób, aby otrzymać jakąś nagrodę. Dobroć zależy — powiada — od „kłamstwa, udawania, oszustwa, włącznie z oszukiwaniem samego siebie, gdyż najbardziej przekonujący jest ten aktor, który wierzy w prawdziwość swej gry”<sup>8</sup>. Na rzucone mu wyzwanie, by wyjaśnił postępowanie Matki Teresy z Kalkuty, Wilson powiedział, że postępuje ona samolubnie, mając nadzieję, iż otrzyma nagrodę od Chrystusa.

Chociaż specjaliści mogą wierzyć w tę teorię automotywacji, dla większości nie brzmi ona przekonująco. Terapeuci, spędzający całe, dni słuchając ludzi opowiadających im o swoim życiu wiedzą, że podejmowanych

<sup>8</sup> Edward O. Wilson, *On Human Nature*, Harvard University Press, Cambridge 1978, ss. 155–156.

przez nas decyzji nie da się łatwo wyjaśnić jednym zdaniem. Rodzice, na podstawie różnych doświadczeń, przekonują się na własnej skórze, że żaden system nagród i kar nie gwarantuje upragnionych wyników.

Co nami powoduje — co powoduje każdym z nas — w procesie stawania się takimi, jakimi jesteśmy? Co sprawia, że niektórzy uczniowie są odpowiedzialni i sumienni, podczas gdy inni nie kończą szkół? Co kieruje niektórymi ludźmi, że stają się milionerami, innymi, że zostają pielęgniarzami na misjach, a jeszcze innymi, że cały dzień siedzą przed telewizorem, pasożytując na swoich rodzicach? Żadne lapidarne wyjaśnienie celu czy motywacji nie da pełnego obrazu rzeczywistości.

Największym wyzwaniem dla zwolenników redukcjonizmu jest znalezienie solidnej podstawy dla moralności. Niedawno dwóch specjalistów od psychologii ewolucyjnej przedstawiło pogląd, który wywołał oburzenie feministek, że gwałt jest zwykłym elementem selekcji naturalnej, wynikającym z charakterystycznej dla samców strategii rozprzestrzenienia swego nasienia wśród jak największej ilości samic. Biorąc pod uwagę założenie poczynione w oparciu o „samolubny gen”, trzeba przyznać, że ta wstrętna teoria ma sens.

Inny czołowy rzecznik ewolucjonizmu, Frans deWall, twierdzi: „Zdaje się, że oto nadchodzi moment, w którym nauka będzie w stanie wyrwać moralność z rąk filozofów”<sup>9</sup>. Wskazuje na ogromną ilość przykładów „etycznego” postępowania w świecie przyrody: wieloryby i delfiny ryzykujące życiem, ratujące swoich towarzyszy, szympansy przychodzące z pomocą rannym osobnikom, słonie wzbraniające się porzucić zabitych współbraci.

To prawda, ale wszystko zależy od tego, co weźmie się pod lupę, chcąc poznać właściwe postępowanie przedstawicieli obu płci. Każdej jesieni, nieopodal mojego domu w Górach Skalistych, samiec łosia, rycząc niemiłosiernie, gromadzi wokół siebie stado liczące od sześćdziesięciu do stu samic. Aby przepędzić rywali, używa swych wspaniałych rozłożystych łopat. W świecie

<sup>9</sup> Frans de Wall, *Good Natured*, Harvard University Press, Cambridge 1996, s. 218.

przyrody obserwujemy stosunkowo mało przykładów monogamii, a jeszcze mniej — egalitaryzmu. Czy w takim razie kobiety powinny pożerać swoich partnerów podczas seksu, tak jak to czynią drapieżne modliszki? Czy nasi sąsiedzi mają rozwiązywać swoje spory, idąc za przykładem szympanśów *bonobo* — przystępując do gwałtownej orgii i parząc się, z kim popadnie? Dlaczego by nie, skoro powinniśmy uczyć się moralności od innych gatunków?

A co z przemocą? Zoologowie utrzymywali kiedyś, że jedynie człowiek zdolny jest do morderstwa. Obecnie już tak nie uważają. Dziś wiadomo, że wiewiórki ziemne zwykle pożerają swoje młode; gromada samców kaczki krzyżówki potrafi gwałcić i topić inne kaczki; pewien gatunek ryby, pielęgnica afrykańska, żywi się oczami innych osobników swojego gatunku. Hieny, pożerające siebie nawzajem, mają za swoje! W ciągu godziny od przyścia na świat, w wyniku stoczonej walki z dwu szczeniąt przy życiu pozostanie silniejsze. Niektórzy specjaliści od psychologii ewolucyjnej zgadzają się z poglądem, że ludzie są genetycznie zaprogramowani, by brać udział w tym cyklu przemocy.

Jesteśmy wstrząśnięci na wieść o tym, że pewne małżeństwo (oboje przedstawiciele klasy średniej) wyrzucają z domu starych rodziców, dotkniętych chorobą Alzheimera; że dzieci wypychają pięciolatka z okna wieżowca; że snajper otwiera ogień do obcych sobie ludzi; że dziesięciolatka została zgwałcona na korytarzu w szkole; że wyrodna matka utopiła dwoje dzieci, bo były jej kulą u nogi. Dlaczego to wzbudza w nas takie emocje? Co leży u źródeł naszego oburzenia? Przecież skoro utrzymujemy, że to my sami stanowimy o moralnych normach, czy że są one zapisane w naszych genach... A co wówczas, jeżeli to nie my decydujemy o normach moralnych? Kto je wówczas określa? Jakże mamy podjąć decyzję, dokonać wyboru?

Na rok przed słynnym procesem Scopesa<sup>10</sup> głośno było o sprawie, w której adwokat Clarence Darrow zrećnie wybronił przed karą śmierci dwóch

<sup>10</sup> Tzw. „Scopes Monkey Trial”. Powód zaskarżył prawo zabraniające nauczania ewolucji w szkołach. Rozprawa odbyła się w lipcu 1925 r. w Tennessee — przyp. tłum.

studentów, oskarżonych o zamordowanie chłopca... w celu intelektualnego doświadczenia morderstwa. Darrow dowodził: „Jak można winić kogoś, kto potraktował poważnie filozofię Nietzschego i na jej podstawie ukształtował swoje życie? [...] Czy to uczciwe, Wysoki Sądzie, powiesić dziewiętnastoletka za filozofię, której uczono go na uniwersytecie?”<sup>11</sup>.

Krótko mówiąc, zwolennicy redukcjonizmu podają zbyt mało powodów, dla których człowiek, zamiast naśladować postępowanie zwierząt, powinien wykroczyć ponad zwierzęcą mentalność. „Natura jest okrutna, zatem my też mamy prawo być okrutni”<sup>12</sup> — mawiał Hitler.

---

Częstokroć rozmiękanie świata na drobne osłabia w nas zdolność odczuwania przyjemności. Domyślam się, że taki wojownik z plemienia Masajów, człowiek niewykształcony, stojąc na jednej nodze i opierając się o swą włócznię, wpatruje się w zaćmienie Księżyca z większym zdumieniem niż czynię to ja po przeczytaniu w gazecie naukowego wyjaśnienia tego zjawiska.

Niektórzy słynni propagatorzy redukcjonizmu skwapliwie przyznawali, że zmysł przyjemności osłabia się wraz z wiekiem<sup>13</sup>. Karol Darwin wyznaje:

Do trzydziestego roku życia, a nawet nieco później, poezja wszelkiego rodzaju [...] sprawiała mi wielką przyjemność, a już w szkołach zachwycałem się Szekspirem [...] dawniej zachwycało mnie malarstwo, a w jeszcze większym stopniu — muzyka. Obecnie jednak już od wielu lat nie mogę znieść ani

<sup>11</sup> Cyt. w: Carol Iannore, „The Truth About Inherit the Wind”, (w:) *First Things*, t. 70, luty 1997, ss. 28–33.

<sup>12</sup> Cyt. w: Christopher Nugent, *Masks of Satan*, Sheed and Ward, London 1983, s. 170.

<sup>13</sup> Lenin, zwolennik może nieco innej odmiany redukcjonizmu, nie mógł znieść kwiatów w swoim pokoju. „Nie mogę zbyt często słuchać muzyki” — oświadczył po wysłuchaniu jednej z sonat Beethovena. „Chciałbym przemawiać do ludzi tymi wszystkimi okrągłymi, uprzejmymi i głupimi frazesami, cacy, cacy... Teraz jednak trzeba ich walić po łbach, łoć bez miłosierdzia” (cyt. w: „New York Times Book Review”, 27 października 1996 r.).

jednego wiersza poezji. Niedawno spróbowałem ponownie czytać Szekspira, ale wydał mi się tak nieznośnie nudny, iż przyprawił mnie niemal o mdłości. Prawie utraciłem też wszelkie zamiłowanie do obrazów i muzyki. [...] Pozostało mi jeszcze nieco upodobania do pięknych krajobrazów, ale i te nie zachwycają mnie tak, jak niegdyś. [...] Umysł mój stał się niejako maszyną do wyprowadzania praw ogólnych z większej liczby faktów; [...] Utrata wrażliwości na takie rzeczy jest swego rodzaju utratą szczęścia i może być szkodliwa dla inteligencji, a w większym jeszcze stopniu dla charakteru moralnego, ponieważ osłabia stronę uczuciową naszej natury”.<sup>14</sup>

Niewykształceni, „prymitywni” ludzie intuicyjnie przeczuwają, że poza światem bizonów, purpurowych ar, orangutanów i żyraf istnieje coś tajemniczego, jakiegoś sacrum. Często czczą przyrodę. W przeciwieństwie do nich ci, którzy sprowadzają świat wyłącznie do materii, ryzykują obumarciem zdolności uznania czegoś za cud.

Pewnego razu w Finlandii miałem okazję obserwować olśniewające zjawisko — zorzę polarną. Fale zielonkawej poświaty, sklepiając się wysoko, tworzyły na niebie fantastyczne łuki, pokrywające część czarnego jak atrament nieboskłonu. Światłe sploty raz to przyjmowały kształty pękatych chmur, raz to dzieliły się na części, by znów połączyć się w pulsującym tańcu, formując dziwaczne twory na podobieństwo szczepionych ze sobą gigantycznych grzebieni. Zorzane refleksy, urągając prawu grawitacji, igrały wdzięcznie na tle mroźnej czerni, przyćmiewając lodowate światło gwiazd. Zdumiało mnie, że to wspaniałe, cudowne zjawisko o tak potężnym zasięgu i skali, przebiegało w zupełnej ciszy. Temu pokazowi niebiańskich ogni sztucznych nie towarzyszył żaden odgłos — żadnych wybuchów, pomruków, grzmotów, ryku wulkanicznych eksplozji. Drżąc z zimna zastanawiałem się, jakim zdumieniem takie widowisko musiało napawać sta-

<sup>14</sup> Karol Darwin, *Autobiografia*, tłum. prof. dr Jan Wilczyński, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, Warszawa 1950, ss. 71–72.

rożytnych wikingów, nic nie wiedzących o plamach na Słońcu, wietrze słonecznym i zakłóceniach elektromagnetycznych.

Psalmy biblijne wysławiają stworzony świat jako uzewnętrznienie Osoby, arcydzieło artystycznej twórczości, godne najwyższej chwały. Lecz jak tu przypisywać światu piękno, zakładając, że jest przypadkowym tworem, produktem ubocznym, efektem nagromadzenia cząstek materii — skoro nasze organy zmysłu również powstały w wyniku przypadkowych zderzeń tych cząstek?

Od wielu lat jestem członkiem Sierra Club<sup>15</sup>, Wilderness Society<sup>16</sup> oraz National Audubon Society<sup>17</sup>. Otrzymuję czasopisma, wydawane przez te stowarzyszenia. Ich lektura zazwyczaj wpływa na mnie przygnębiająco, ponieważ w większości numerów sporo miejsca poświęca się opisom, w jaki to sposób zanieczyszczamy wodę i powietrze, niszczymy lasy spychaczami, pozwalając, by bezpowrotnie ginęły kolejne gatunki zwierząt. Zdumiewa mnie wszak, że autorzy tych artykułów w pełnych pasji apelach, by pospieszyć w sukurs przyrodzie, często gęsto używają słów takich jak „święte”, „uświęcone” czy „nieprzemijające”. Jak stwierdził jeden z działaczy na rzecz środowiska, broniąc odcinka rzeki w Montanie: „Mamy zachować naturę w stanie nieskażonym. To obowiązek wobec następnych pokoleń. Nie czynić nic w tym kierunku to dopuścić się świętokradztwa”.

Organizację Sierra Club założył John Muir — postać dość ekscentryczna, o naturalistycznym światopoglądzie, zwolennik teologii naturalnej. W jego rozumieniu natura stanowiła mistrzowskie dzieło ręki Bożej. Wędrując przez lasy Cumberlandu w południowo-wschodniej części Stanów Zjednoczonych, pisał:

<sup>15</sup> Założona w 1892 r. najbardziej wpływową w Stanach Zjednoczonych organizacją zajmującą się ochroną środowiska naturalnego.

<sup>16</sup> Zadaniem założonej w 1935 r. organizacji jest ochrona dzikiej przyrody w Ameryce.

<sup>17</sup> Organizacja ma na celu zachowanie i odtwarzanie naturalnych ekosystemów, ze szczególnym uwzględnieniem ochrony dzikiego ptactwa.

Och, te leśne ogrody naszego Ojca! Jakaż doskonałość, jakaż boskość w ich zamysle! Cóż za prostota, a jednocześnie tajemnicza złożoność szczegółu. Lecz czy znajdzie się taki, co skwapliwie spijając będzie nauki z tych stronic lasem zapisanych, z miłego braterstwa strumyczków, śpiewających w dolinie, ze szczęścia tych wszystkich stworzeń zamieszkujących te dzikie ostępy pod czułą opieką Ojca?<sup>18</sup>

Spadkobiercy idei Muira, stojący dziś na czele Sierra Club, w większości odcięli się od jego teologii. Niczym Ojcowie—założyciele\*, odwołujący się do „nienaruszalnych praw [...], którymi zostaliśmy obdarowani przez Stwórcę”, tak obrońcy środowiska dalej szukają po omacku jakiegoś transcendentnego autorytetu, Siły Wyższej, aby jakoś usankcjonować postulowany szacunek dla stworzenia. Co ciekawe, mimo wyznawanego poglądu na rzeczywistość, zapożyczają skądś prastarą alegorię „świętości”, bez żadnych oporów posługując się biblijną ideą szafarstwa. Bo inaczej jakież przyrodzone prawa mogliśmy przypisać małemu okoniowi czy lasom sekwoi?

Były prezydent Republiki Czeskiej, Vaclav Havel był świadkiem upadku komunizmu — systemu, który zawzięcie usiłował wyeliminować Boga z życia obywateli. Oto, co stwierdza:

Jestem przekonany, że wraz z utraceniem Boga człowiek zgubił coś w rodzaju absolutu i uniwersalnego układu współrzędnych, do którego zawsze mógł wszystko odnieść, głównie zaś samego siebie. Jego świat i osobowość stopniowo zaczęły rozpadać się na oddzielne, niespójne fragmenty, odnoszące się do innych, relatywnych współrzędnych.<sup>19</sup>

<sup>18</sup> Cyt. w: Frederick Turner, *Rediscovering America: John Muir in His Time and Ours*, Sierra Club, San Francisco 1985, s. 139.

\* Tu: twórcy państwa amerykańskiego, sygnatariusze Deklaracji Niepodległości oraz Konstytucji Stanów Zjednoczonych.

<sup>19</sup> Cyt. w: Colin E. Gunton, *The One, The Three and The Many*, Cambridge University Press, London 1995, s. 71.

Havel uznał gwałt, zadany przez marksizm jego ojczyźnie, za bezpośrednie następstwo ateizmu. „Pochodzę z kraju, gdzie giną lasy, gdzie rzeki przypominają kanały ściekowe i gdzie w pewnych rejonach radzi się obywatelom, żeby nie otwierali okien” — powiada, doszukując się przyczyny takiego stanu rzeczy w „wyniosłości istot ludzkich nowego wieku, które posadziły siebie na tronie jako panów natury i całego świata”. Ludzie tacy nie mają metafizycznej kotwicy: „Rozumiem przez to pokorny szacunek do całego stworzenia i świadomość naszych powinności względem niego [...]”. Jeżeli rodzice wierzą w Boga, to ich dzieci nie będą musiały nosić masek gazowych w drodze do szkoły, a ich oczy nie będą łzawić, a oni sami — nie oślepną<sup>20</sup>.

Zyjemy w niebezpiecznych czasach, nurtowani pytaniami dotyczącymi nie tylko środowiska naturalnego, ale także terroryzmu, wojny, seksualizmu, nędzy na świecie oraz — istoty życia i śmierci. Społeczeństwo rozpaczliwie potrzebuje kręgosłupa moralnego, czy też moralnego „układu współrzędnych”, używając sformułowania Havla. Musimy znać nasze miejsce we wszechświecie i nasze powinności wobec siebie nawzajem oraz wobec naszej planety. Czy bez Boga będziemy w stanie udzielić odpowiedzi na te pytania?

Współczesna literatura do rangi bohatera podnosi buntownika, który buńczucznie trwa przy swoich przekonaniach, w świecie pozbawionym znaczenia. Filozofia ewolucyjna twierdzi, że przeznaczeniem *homo sapiens*, gatunku nie różniącego się zbyt od innych gatunków, jest scenariusz życia zapisany w genach egoizmu. Co jednak wówczas, gdy okaże się, że obu tym perspektywom brak pewnego elementu — wielkiego, ważnego, doniosłego, mogącego być sygnałem ostrzegawczym odnośnie naszej przyszłości — tak jak to przydarzyło się mieszkańcom Tierra del Fuego? Czy my rów-

<sup>20</sup> Cyt. w: „News and Comments”, (w:) „The Chesterton Review”, XXII, 1996, nr 3, ss. 388–390.

nież zignorujemy statki Magellana, uznając je za produkty naszej wybujałej fantazji?

---

Nieskończona odkrywczność i eksperyment bez końca,  
Przynoszą wiedzę ruchu lecz nie spokój (...)  
Gdzie jest życie utracone przez życie?  
Gdzie mądrość utracona w wiedzy?<sup>21</sup>

T. S. Eliot

<sup>21</sup> T. S. Eliot, „Chóry z »Opoki«”, (w:) *Poezje*, tłum. Michał Sprusiński, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1978, s. 159.